

Szczególnie duża rola i odpowiedzialność w grze spoczywała tu na parze pomocników Didi – Zito. Oni w stopniu największym wspierali atak i obronę, widać obu natura najhojniej obdarzyła „podwójnymi płucami”. Ofensywne zadania w „brasilianie” wykonywali również (oczywiście na zmianę) obaj boczni obrońcy Djalma Santos (prawy) i Nilton Santos (lewy). Cztery lata później w Chile Brazylia znowu wygrała Mundial, ale jej „brasiliana” przybrała już nieco inny kształt: 1+4+3+3. Tym trzecim pomocnikiem („fałszywym” lewoskrzydłowym) był Mario Jorge Zagalo. A w przodzie hasało tam „cudowne trio”: Garrincha, Vava, Pele.

Ustawienie 1+4+2+4 względnie 1+4+3+3, oczywiście w różnych wariantach taktycznych, utrzymało się prawie piętnaście lat. Na polskich boiskach, tak z udziałem drużyn ligowych, jak i reprezentacyjnych, na dobre „brasiliana” zadowoliła się dopiero w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. Wszystkie w tym czasie nowelizacje tego systemu miały na celu wzmacnianie defensywy. Pojawił się więc z czasem sposób gry z tak zwanym „wymiataczem” w obronie, czwórką pomocników i parą napastników czyli 1+(1+3)+4+2. W takim ustawieniu nasz Górnik Zabrze w roku 1967 zagrał w Kijowie w zwycięskim (2:1) meczu z Dynamem w Klubowym Pucharze Mistrzów Europy, a reprezentacja w jeszcze bardziej betonowym schemacie taktycznym 1+(1+4)+2+3 na stadionie Heyssel w Brukseli; pokonała wtedy drużynę Belgii 4:2. Sądzę, że zanim Kazimierz Górski i jego niepowtarzalny zespół zdobył w RFN trzecie miejsce na świecie, w różnych wariantach „polskiej brasiliany” najlepiej swoje role odgrywali:

Hubert Kostka (Górnik Zabrze) – **Roman Strzałkowski** (Zagłębie Sosnowiec), **Jacek Gmoch** (Legia), **Stanisław Oślizło** (Górnik), **Zygmunt Anczok** (Polonia Bytom) – **Zygfryd Szoltyśik** (Górnik), **Bernard Blaut** (Legia) – **Jan Banaś** (Polonia Bytom), **Włodzimierz Lubański** (Górnik), **Jan Liberda** (Polonia Bytom), **Andrzej Jarosik** (Zagłębie Sosnowiec).

Dobrze w tym ustawieniu spełniali się również Władysław Stachurski i Janusz Żmijewski (obaj Legia) oraz Zygmunt Szmidt (GKS Katowice), Ryszard Grzegorzczak, Walter Winkler (obaj Polonia Bytom), Antoni Nieroba (Ruch), Henryk Latocha, Jan Kowalski (obaj Górnik) i Jerzy Sadek (ŁKS). Także wielcy mistrzowie z czasów systemu „trzech obrońców” – Lucjan Brychczy i Ernest Pohl byli w tym ustawieniu prawdziwymi gwiazdami. U schyłku reprezentacyjnej kariery – byli równie dobrymi pomocnikami jak niegdyś napastnikami. Tej klasy piłkarze z powodzeniem mogliby grać w każdym systemie i w każdym towarzystwie. Również dzisiaj.

Ulepszanie „brasiliany” kontynuowano na mistrzostwach świata w Anglii w 1966 roku. Na pierwszy rzut oka zasadniczym celem znowu było wzmocnienie obrony, w rzeczywistości tylko nieco inny, bardziej precyzyjny podział ról w zespole. Ustawienie 1+(1+3)+4+2 z „wymiataczem” i tylko dwoma napastnikami teoretycznie ograniczało możliwości odważnych działań atakujących. W praktyce mocno je potęgowały dzięki ofensywnym manewrom obu bocznych obrońców, w wypadku Anglii – mistrza świata J. Cohena i R. Wilsona. W wielu meczach wykonywali oni zadania typowe dla skrzydłowych w poprzednich systemach gry. Teoretycy futbolu uznali te praktyki za początek „gry totalnej”. Oprócz Anglików próby tej wersji futbolu już na tych mistrzostwach podejmowali Niemcy. Znacznie więcej reprezentacji przejęło ten system na kolejnych mistrzostwach świata w roku 1970 w Meksyku.

Jednak największe zasługi w prezentowaniu „futbolu totalnego” położyli Holendrzy. Najpierw błysnął niezwykle mocny w tamtych czasach Ajax Amsterdam z Krolem, Neeskensem, Cruyffem, Keizerem i Repem, zaraz potem reprezentacja, bo właśnie Ajax stanowił jej trzon i przeniósł na ten grunt swój nowatorski sposób gry. Dotychczas o takiej formie futbolu oględniej mówiono jako o „grze wszystkimi siłami”, teraz odważnie i jednoznacznie

nie nazywając to „grą totalną”. Wzorem dla wszystkich byli tu więc „pomarańczowi”, ale na mistrzostwach świata w roku 1974 w Republice Federalnej Niemiec równie dobrze taką formę futbolu zaprezentowali gospodarze (mistrz świata) i Polacy.

Te trzy reprezentacje w stopniu największym imponowały niespotykaną dotychczas szybkością w rozgrywaniu akcji, wytrzymałością, wszechstronnością, wysokim stopniem wyszkolenia techniczno-taktycznego oraz sprawną wymiennością funkcji i zadań w drużynie. Dawnego „wymiatacza” zastąpił wykonujący znacznie więcej i bardziej złożonych zadań „libero”, a skrzydłowi i boczni obrońcy na przemian (niekiedy nawet jednocześnie) spełniali swoje niełatwe funkcje zarówno w ataku jak i w obronie. Była to forma futbolu głęboko przemyślanego i doskonale zorganizowanego. Każde ogniwo było w tym „totalnym kotle” mocne i trwałe. Nie krępowano to improwizacji, ale przypadek ograniczało do minimum. Nasza reprezentacja, może poza małymi wyjątkami, miała zawodników dobrze przygotowanych do prezentacji takiego właśnie futbolu. Docenił to cały piłkarski świat. Przypomnijmy więc aktorów tych pięknych widowisk w wykonaniu „biało-czerwonych” anno 1974.

Jan Tomaszewski (ŁKS Łódź) – Antoni Szymanowski (Wisła Kraków), Władysław Żmuda (Gwardia Warszawa), Jerzy Gorgoń (Górnik Zabrze), Adam Musiał (Wisła) – Henryk Kasperczyk (Stal Mielec), Kazimierz Deyna (Legia Warszawa), Zygmunt Maszczyk (Ruch Chorzów) – Grzegorz Lato (Stal), Andrzej Szarmach (Górnik), Robert Gadocha (Legia).

To „żelazny skład”, a przecież z ławki rezerwowych wchodził do gry równie utalentowani i dobrze wyszkoleni: **Lesław Ćmikiewicz (Legia), Mirosław Bulzacki (ŁKS), Kazimierz Kmiecik (Wisła), Zdzisław Kapka (Wisła), Jan Domarski (Stal) i Zbigniew Gut (Odra Opole).** Przewlekła kontuzja wyłączyła z gry Włodzimierza Lubańskiego (Górnik Zabrze).

Ci wybitni piłkarze grali w ustawieniu wyjściowym 1+(1+3)+3+3. W niektórych fazach spotkań sięgano również po formułę 1+4+4+2. Robert Gadocha na lewej stronie naszego ataku wykonywał również zadania typowe dla pomocnika. W następnych latach okazało się, że takie ustawienie jest dla naszych piłkarzy bardzo korzystne. W grze czterema pomocnikami i tylko dwoma napastnikami teoretycznie nieco więcej miejsca poświęca się defensywie, ale akurat „biało-czerwonym” na mistrzostwach świata w roku 1982 w Hiszpanii pomogło to w wywalczeniu po raz drugi trzeciego miejsca na świecie. Postarali się o to:

Józef Młynarczyk (Odra Opole) – Marek Dziuba (ŁKS), Paweł Janas (Legia), Władysław Żmuda (Widzew), Stefan Majewski (Legia) – Grzegorz Lato (Lokeren), Waldemar Matysik (Górnik), Janusz Kupcewicz (Arka Gdynia), Andrzej Buncol (Legia) – Zbigniew Boniek (Widzew), Włodzimierz Smolarek (Widzew).

W trudnych chwilach dzielnie ich wspomagali: **Andrzej Szarmach (Auxerre), Andrzej Iwan (Wisła), Marek Kusto (Legia), Włodzimierz Ciołek (Stal Mielec), Andrzej Pałasz (Górnik), Roman Wójcicki (Odra Opole) i Jan Jałocha (Wisła).**

Po mistrzostwach świata w Hiszpanii nadal najchętniej nawiązywano do kanonów klasycznej „brasiliany” i jej pochodnych. Reprezentacje ze światowej czołówki preferowały przede wszystkim warianty ofensywne tego systemu, natomiast te nieco słabsze stawiały na działania obronne. Modne stało się wzmacnianie przede wszystkim drugiej linii, u jednych kosztem napadu, u innych formacji obronnej. Wyjściowe ustawienie zawodników, tak drużyn narodowych i tych największych klubowych, przypominało jednak tę bardziej umiarkowaną odmianę „brasiliany” (1+4+4+2). O wyborze konkretnego sposobu gry decydowały założenia drużyny w danym meczu, aktualny wynik i indywidualne możli-

wości graczy. Raz więc – w zależności od potrzeb – wzmacniano atak, kiedy indziej obronę. Stosowano więc daleko posuniętą elastyczność w strategii i taktyce. Potwierdził to Mundial w Meksyku.

Nasza reprezentacja starała się być w awangardzie tych przemian, ale skąpe możliwości kadrowe nie zawsze na to pozwalały. Brak odpowiednich wykonawców niweczył ambicje międzynarodowe. Mimo to nasze drużyny do dziś z reguły najlepiej radzą sobie właśnie w ustawieniu 1+4+4+2. To był nasz pomysł na „grę wszystkimi siłami”, jednak nieco mocniej akcentującą działania obronne. Jeszcze w pierwszej połowie 1989 roku tak prezentowała się drużyna prowadzona przez Wojciecha Łazarka. Andrzej Strelau w debiucie z ZSRR (1:1) też postawił na czterech obrońców, ale już w następnym meczu z Grecją, kierując się światowymi tendencjami i świadomością gry na własnym boisku, zdecydował się na trzyosobowy blok obronny. Akurat w tym spotkaniu eksperyment się udał, Polska wygrała 3:0.

Strelau nie ustawał w poszukiwaniu innych rozwiązań najbardziej adekwatnych do umiejętności piłkarzy. Kluczył między trzema, czterema i... pięcioma obrońcami. Ostatecznie w meczu z Anglią w eliminacjach mistrzostw Europy zdecydował się na grę tylko trzema obrońcami i... pięcioma pomocnikami. To nie był dobry pomysł, na Wembley Polska przegrała 0:2. Siedziałem na tym meczu obok Kazimierza Górskiego, jemu też nie spodobało się takie jałowe ustawienie drużyny. Andrzej akurat w tak ważnym meczu starał się być wierny „obowiązującym trendom”, ale ta chwalebna misja przerastała możliwości większości zawodników, niemal w równej mierze tych z kraju, jak i tych z lig zagranicznych. Po tym nieudanym eksperymencie, były więc podstawy do wyrażenia opinii, że system 1+4+4+2 również w „czasach Strelaua” i nieco wcześniejszych był dla naszej reprezentacji najkorzystniejszy. Moim zdaniem w tym ustawieniu najlepiej prezentowali się:

Józef Wandzik – Dariusz Kubicki, Zbigniew Kaczmarek, Piotr Czachowski, Dariusz Wdowczyk – Waldemar Prusik, Robert Warzycha, Ryszard Tarasiewicz, Jacek Ziober – Roman Kosecki, Dariusz Dziekanowski.

W ówczesnej kadrze narodowej mocnymi punktami byli również: Jarosław Bako, Roman Szewczyk, Leszek Pisz, Jan Urban, Jan Furtok i Marek Leśniak. Bodaj największym zaufaniem kilku kolejnych selekcjonerów cieszył się Dariusz Dziekanowski. Sęk jednak w tym, że nie zawsze najwłaściwiej wykorzystywano jego talent. Darek dobrze czuł się w drugiej linii, jeszcze lepiej w ataku, ale najchętniej inicjował akcje z głębi boiska, mając na flankach szybkich skrzydłowych. Nieco gorzej wiodło mu się w roli klasycznego przebojowca. W 63 meczach zdobył tylko 20 bramek, co nie mogło zaspokoić jego ambicji i oczekiwań licznych wielbicieli. Pchano jednak „Dziekana” do przodu, natomiast w pomocy częściej stawiano na Krzysztofa Warzychę, typowego łowcę bramek. Ewidentny błąd w sztuce. Obaj powinni grać w reprezentacji, ale... na właściwych pozycjach.

Po Igrzyskach Olimpijskich w Barcelonie trener Janusz Wójcik na moje pytanie: – *Ilu z tych srebrnych medalistów zagra wkrótce w pierwszej reprezentacji?* bez większego namysłu odpowiedział: – **Wszyscy!** Przyjąłem to zapewnienie zgryźliwym uśmiechem, bo tak szybka i gruntowna „zmiana szyldu” po prostu nie mieściła mi się w głowie. Nie ta miara talentu i charakteru! Z ekipy barcelońskiej w drużynie narodowej aż do mistrzostw świata w Korei Południowej i Japonii dotrwali jednak: Tomasz Wałdoch, Marek Koźmiński i Piotr Świerczewski. Wcześniej nawet najbardziej w tym towarzystwie utalentowani Wojciech Kowalczyk, Andrzej Juskowiak i Tomasz Wieszczycki niewiele wskórali w eliminacjach mistrzostw Europy i świata. Sztandarowa wówczas jedenastka to:

Jerzy Dudek – Tomasz Wałdoch, Jacek Bąk, Jacek Zieliński, Marek Koźmiński – Tomasz Hajto, Radosław Kałużny, Piotr Świerczewski, Jacek Krzynó-

wek – Wojciech Kowalczyk, Emmanuel Olisadebe. U schyłku ubiegłego stulecia i zaraz na początku XXI wieku w reprezentacji Polski w ustawieniu 1+4+4+2 dość często grali również: Adam Matysek, Kazimierz Węgrzyn, Jerzy Brzęczek, Marek Leśniak, Andrzej Juskowiak, Grzegorz Mielcarski, Marek Saganowski, Marcin Jałocha i Ryszard Staniek.

Dobry piłkarz powinien dać sobie radę w każdym systemie gry, a trener właściwie to wykorzystać. Janas nie tkwi w zastygłych formach, obdarza zaufaniem faktycznie najlepszych, ale unika formuły „jest w kadrze za zasługi”. Wprawdzie nie lubi się reklamować w mediach, ale przypisywanie mu z tego powodu łatki bufona i zarozumialca jest grubą przesadą. Janas stawia na partnerskie kontakty z prasą, owocne merytorycznie, a nie na słowne utarczki, z których nic dobrego dla reprezentacji nie wynika. Fakt, mówi niewiele, zresztą nie ma daru do opowiadania bajek, jest konkretny, choć pracuje (i to dobrze!) bez większego rozgłosu. Nie jest też głuchy na twórcze podpowiedzi z zewnątrz, ale irytują go pomysły nierealne, dyletanckie, mądrości na pokaz, nic nie wnoszące do sprawy. Czy to grzech?

JEDNODNIOWI MILIONERZY

Udana jesień 2004 odrodziła wiarę w reprezentację i przywróciła dobry klimat dla jej trenera. Gloryfikuję Janasa? Wytknąłem selekcjonerowi już niejedno głupstwo, wciąż powtarzam, że dziwi mnie na przykład tak bezkrytyczne przywiązanie Pawełka do Grzegorza Rasiaka. Gdy znalazł się we Włoszech, a potem w Anglii, na moment coś we mnie zadrżało – czyżbym się mylił w ocenie talentu i przydatności tego piłkarza dla reprezentacji? Ale gdy tu i tam zaczął „grzać ławę” wątpliwości już nie miałem. Lubańskim to ten Rasiak nie jest i nie będzie.

Przed Rasiakiem, oj dawno, dawno temu, akurat wtedy, kiedy Paweł Janas był podporą drużyny, która w Hiszpanii wywalczyła trzecie miejsce na świecie, imiennik Rasiaka, Grzegorz Kapica z Szombierek zdobył tytuł króla strzelców w naszej lidze. Też usiłowano zrobić z niego gwiazdę i zbawcę reprezentacyjnego ataku. W rzeczywistości był ów Kapica tylko jednym z tych piłkarzy, których w podobnych sytuacjach oceniałem jako „jednodniowych milionerów” bądź uważałem za szczęśliwców, którym raz w życiu udało się wykonać olimpijski „skok Fortuny”. Było ich więcej: Marian Kielec, Mirosław Okoński, Leszek Iwanicki, Mirosław Tłokiński, Tomasz Dziubiński, Zenon Burzawa, Arkadiusz Bąk, Adam Kompała.

Nie wszyscy za królestwo strzeleckie w naszej lidze trafili do reprezentacji, a z tych, którym się udało, tylko Okoński w 25 meczach rozegranych w biało-czerwonych barwach zdobył... jedną bramkę. Liga – powtarzam starą prawdę – obojętnie krajowa czy zagraniczna, to jednak nie to samo co reprezentacja. Teraz Rasiakowi wyrósł nowy rywal, nazywa się Grzegorz Piechna i też strzela dużo bramek w lidze. Zatrzesienie tych Grzegorzów. Ten z Korony Kielce nie jest pierwszej młodości, ale serce do gry ma jak początkujący junior. Skuteczność pod bramką większości rywali też imponująca. Taki dar strzelecki miał chyba tylko Ernest Pohl. Kandydat na Welmeisterschaft 2006? Oby Piechna nie stał się gwiazdą tylko jednego ligowego sezonu.

Poszukuję w pamięci równie błyskotliwej kariery. Mam! W latach pięćdziesiątych debiutował w Gwardii Warszawa Stanisław Hachorek. Zaczynał na prawej obronie w towarzystwie Zdzisława Maruszkiewicza i Wojciecha Hodyry. Zwrócił na siebie uwagę dużą przebojowością i silnym, czystym uderzeniem piłki, niemal z każdej pozycji.

– To cechy typowe dla napastnika! – zachwycił się trener Edward Brzozowski i powierzył „Hachorowi” rolę środkowego napastnika.

Rychło stał się niedawny obrońca „głównym harpagonem” i w roku 1955 sięgnął po tytuł strzelców I ligi, dystansując prawdziwych mistrzów w tym fachu Ernesta Pohla i Lucjana Brychczego. Wkrótce stał się ich partnerem w reprezentacyjnym ataku i wraz z nimi poleciał do Rzymu na Igrzyska Olimpijskie. Tam też zdobył jedną bramkę. Miał wtedy już 33 lata, dokładnie tyle co Gerard Cieślik, który już rok wcześniej zakończył karierę. Analogia z karierą Piechny łatwo dostrzegalna. Obaj Stanisław i Grzegorz wcześniej mało znani, w porę nie dostrzeżeni przez kiepskich łowców talentów, niemal w tym samym – piłkarsko mocno dojrzałym – wieku trafili do ekstraklasy i już na starcie ligowej kariery walczyli o koronę króla strzelców. Hachorek nie był przy tym przysłowiowym „jednodniowym milionerem” i nie tylko jeden raz w życiu sprzyjała mu bogini szczęścia. Tę sportową parabolę Hachorek – Piechna przypominam ku pokrzepieniu serc wszystkich miłośników piłkarstwa. Potrzeba nam trochę nowości, mocniejszych wzruszeń i... folkloru. Wtedy Olimpiada, teraz piłkarski Mundial! Jednak podmuchać przy tym na zimne nie zaszkodzi.

Paweł Janas ma dar pozytywnej selekcji. Niedawno, w odpowiednim momencie i chyba na długo, wprowadził do reprezentacji Artura Boruca, Mariusza Jopa, Radosława Sobolewskiego i Euzebiusza Smolarka, a zaraz po tak pomyślnie zakończonych eliminacjach testował właśnie bombardiera z Kielc. Wszedł do gry z Estonią i trafił bez pudła. Będzie więc Grzegorz Piechna alternatywą dla Grzegorza Rasiaka? Oby równie udane były dalsze próby! Już jeden Grzegorz, ten Lato z Mielca był bohaterem mistrzostw świata. A podobno historia lubi się powtarzać... Sądzę, że Piechna jest sprytniejszy od Rasiaka, nie ma kompleksów, jest mocniejszy psychicznie, nie kalkuluje. Dopiero teraz poznał smak prawdziwego futbolu. To mu sprawia prawdziwą radość, a każda zdobyta bramka, niekiedy jakby od niechcienia, przybliżyła go do sławy. Na razie świetnie spraw-

dzał się w lidze. Potrafił zaskoczyć każdego obrońcę. To cenny atut. Czy będzie „tajną bronią” reprezentacyjnego ataku? Ubolewałbym, gdyby pozostał wodzi-
rejem tylko jednego sezonu. Wiosna 2006 wyraźnie na to wskazywała. Pojawi-
ły się sugestie, że Piechnie „odbiła woda sodowa”. Przestał strzelać bramki. Czy
pojedzie na Mundial?

Gdyby Piechna był obrońcą lub pomocnikiem, zapewne nieco łatwiej
mógłby wdrzeć się do reprezentacyjnego składu. Tam bowiem jeszcze w koń-
cu 2005 roku nie wszystko grało. Ale jak tu rozbić bramkostrzelny duet Żu-
rawski – Frankowski? Zespół na Weltmeisterschaft 2006 potrzebuje zawod-
ników klasy międzynarodowej. Czy takim graczem jest już nasz powszechnie
lubiany „Kiełbasa”? W obronie i pomocy wzmocnienia są niezbędne, tymcza-
sem właśnie w napadzie łatwo dało się zauważyć nawet pewne „kłopoty bo-
gactwa”. Pewniakami byli tu oczywiście Żurawski i Frankowski, ale przecież
na swoją szansę liczyli także: Andrzej Niedzielan, Marek Saganowski, Piotr
Włodarczyk, Paweł Brożek i... nieobliczalny Grzegorz Rasiak. Latem 2005
roku nieźle spisał się w Kijowie na turnieju imienia Walerego Łobanowskie-
go, jednak w meczu rewanżowym z Anglią w Manchesterze znowu był w cie-
niu, nie tylko angielskich obrońców. Odstawał też od kolegów z własnej ekipy.
Wszedł do gry Frankowski i zaraz w swoim stylu zdobył wyrównującą bram-
kę. Rasiak przyglądał się, jak to robi prawdziwy mistrz w tym fachu. Nomina-
cji Łukasza Sosina nie traktowałem poważnie. Ale to zadziwiające odkrycie.
Strzelił dwa gole w meczu z Arabią Saudyjską. Piechna, Rasiak, Sosin... Jed-
nodniowi milionerzy? Może więc Paweł Janas postawi na równie nieobliczal-
nego Ireneusza Jelenia?

Kolejny paradoks potwierdzający dość powszechnie lansowaną tezę, że Ja-
nasa tak do końca rozszyfrować się nie da. W większości spotkań o mundialowe
punkty wyznaczył Frankowskiemu rolę „dżokera”. Szalenciec jakiś!? – Oburzali

się niektórzy sprawozdawcy. – Moim zdaniem raczej gość z wyobraźnią i dużą intuicją, świadomy przy tym wagi i odpowiedzialności za te eksperymenty. Staralem się wczuć w intencje selekcjonera. Uznał, że „dzoker” jest równie wartościowym zawodnikiem, jak każdy inny reprezentant. To mi odpowiada, bo lubię chłopów z jajami. Powiem więcej: – Jeśli ktoś ma w sobie choć by tylko odrobinę z duszy hazardzisty (a w sporcie taka „żyłka” jest bardzo przydatna), to wie, że w każdej grze, w każdej talii kart i w każdej sytuacji krytycznej, „dzoker” jest wart więcej, niż najwspanialszy „diament taktyczny”. Z reguły przesądza o losach każdej rywalizacji. Bywa więc też nieocenionym skarbem dla każdego trenera i skutecznie wpisuje się w jego sportowy „wariant ryzyko”.

Przed pół wiekiem prominenci ówczesnej Sekcji Piłki Nożnej GKKF stawiali na szkoleniowców z Budapesztu i z ich dużą pomocą opracowali nierealny plan rychłego „dogonienia w futbolu Węgrów”. Teraz już tak księżycowych pomysłów staramy się unikać, zwłaszcza w pracy z reprezentacją zawierzaliśmy rodzinnym trenerom. Trosk nie brakuje, od dziesiątków lat blaski i cienie towarzyszą naszej futbolowej codzienności. Pamiętajmy jednak, że wszystkie powojenne gry kwalifikacyjne przed mistrzostwami świata wywalczyli z piłkarzami polscy trenerzy. Najpierw Górski, potem Gmoch, po nim dwa razy Piechniczek, raz Engel i teraz Paweł Janas. Niewypałem był tylko wojaż do Korei Południowej. Ale tam przecież obiecywano nam sukcesy jeszcze większe, niż specjaliści od propagandy z połowy lat pięćdziesiątych. Janas jest realistą, medali nie obiecuje...

Dzieli nas cała epoka w rozwoju europejskiego i światowego piłkarstwa. W tym przedziale czasowym i korzystnej dla futbolu ewolucji przewija się cały żywot naszego selekcjonera. Uczył się dopiero chodzić, gdy FIFA świętowała swoje pięćdziesięciolecie, a UEFA dopiero stawiała pierwsze kroki w swej owocnej działalności. Czy są jeszcze wśród nas ludzie futbolu, którzy pamię-

tają tamte czasy z autopsji? W PZPN-ie bodaj jedynym człowiekiem z „tamtych lat” jest były sekretarz generalny i wiceprezes Leszek Rylski. To epoka, w której za fachowość i aktywność zbierał pochwały w kraju i poza jego granicami. Ostatnio z Nyon koło Genewy, siedziby UEFA przesłano Rylskiemu potężnych rozmiarów książkę, prawdziwy skarb historyczny – „**50 LAT UEFA 1954 – 2004**”.

– To majstersztyk wydawniczy – z błyskiem w oczach mówi adresat. – Jest w tej swoistej biblii piłkarskiej Europy wszystko: historia, ludzie, struktury, rozgrywki, powiązania UEFA ze współczesnym światem, Unią Europejską i... wizja przyszłości. Jest też w tej książce mocno podkreślona rola tej organizacji w FIFA, a także światłe spojrzenie ludzi futbolu na rolę ekonomii, socjologii i polityki w rozwoju piłkarstwa.

– Byłeś na pierwszym kongresie UEFA?

– Niestety... W ogóle Polski przy powstaniu UEFA nie było! Taki wtedy był nasz kraj. Granica zamknięta, paszporty tylko dla osób zaufanych, piłka nożna w cieniu innych sportów. Kongres założycielski odbył się w Bazylei. Szwajcaria to kraj neutralny, ale i od niego dzieliła nas „żelazna kurtyna”. W roku 1954 odbywały się tam mistrzostwa świata w piłce nożnej. Dla ciebie nie nowość to, bo pracowałeś wtedy w „Przeglądzie Sportowym”. Musisz więc pamiętać, że tylko Grzesio Aleksandrowicz jako sprawozdawca z tego Mundialu był również przy narodzinach UEFA. Opowiadał mi, że w naszym imieniu na tym Kongresie przemawiali Czesi. Upokarzająca sytuacja. Piłka nożna była u nas sportem czwartej kategorii.

– Ale na pierwszym kongresie roboczym UEFA w Wiedniu w roku 1955 już byłeś? To dobrze pamiętam...

– Tak byłem, ale nie sam... Towarzyszył mi Ryszard Łysakowski, naczelnik naszej sekcji w GKKF. A w Wiedniu europejska elita. Poznałem pierwsze-

go prezesa UEFA Duńczyka Ebbe Schwartza, Henriego Delaunaya i Stanleya Rousa. Sporo się od nich nauczyłem. Uchwalili statut Europejskiej Unii Piłkarskiej, zatwierdzili jej strukturę i opracowali merytoryczny program działalności. Był tam też Gabriel Hanot twórca dzisiejszej Ligi Mistrzów i Pucharu UEFA. Same tuzy futbolu. Czułem się wśród nich jak hinduski parias.

– Rychło jednak stałeś się ulubieńcem tych panów, zresztą wielu innych też, wszak dość długo byłeś członkiem Komitetu Wykonawczego UEFA.

– W sumie dziesięć lat... Najpierw w czasie dwóch kadencji 1956 – 1964, a potem jeszcze raz w latach 1966 – 1968. Działałem również w komisji europejskich rozgrywek pucharowych.

– Nie miałeś kłopotu z językami obcymi? W tamtych czasach złośliwie mówiono, że nasi przedstawiciele w różnych europejskich federacjach sportowych najczęściej wyróżniali się znajomością trzech języków... dwoma w butach i jednym w gębie. A ty?...

– Kłopotów nie miałem...

– Który z polskich działaczy był w UEFA równie wysoko ceniony?

– Najdłużej i najbardziej chyba wiceprezes PZPN Wilhelm Bąk ze Śląska, popularny w tamtych kręgach „mister Bak”. Świetnie znał niemiecki i francuski. Wacław Kafliński i Zbigniew Kaliński z Warszawy też dobrze sobie radzili. Również z dobrej strony dali się poznać Bronisław Kołodziej i Zbigniew Należyty. Sądzę jednak, że te nasze osiągnięcia sprzed lat łatwo przebiję obecny prezes PZPN, Michał Listkiewicz. On zna nawet język węgierski.

– A jaką, twoim zdaniem, osobowością w UEFA jest obecny prezydent Szwed, Lennart Johansson?

– Każdy szef Unii i sekretarz generalny był (jest) wybitną indywidualnością. Różnili się sposobem bycia, tuszą i wiekiem, ale wszyscy prezentowali dużą klasę i dobrze służyli europejskiemu piłkarstwu. Mnie osobiście kordial-

nym usposobieniem najbardziej imponował Włoch Artemio Franchi. A Johansson?... Myślę, że łączy w sobie wszystkie dobre cechy swoich poprzedników. On też lubi Polaków...

– Leszek Ryłski jest działaczem nietuzinkowym, to prawdziwy pasjonat futbolu. W dawnym PZPN-ie swoją postawą społeczną, fachowością, kulturą osobistą i żyłką sportową urzekał każdego. Był godnym partnerem Ryszarda Koncewicza. „Fajka” zbudował i przez wiele lat trzymał w garści cały pion szkolenia, a Leszek był mistrzem organizacji i zarządzania, a także sportowej dyplomacji. Umiejętnie poruszał się w europejskich realiach. Słynał z nawiązywania korzystnych dla Polski kontaktów międzynarodowych, tak na Wschodzie, jak i na Zachodzie. Otwarta głowa, pełna pomysłów. Europejczyk!...

W światowym piłkarstwie nasz kontynent odgrywa rolę szczególną. Znacznie wcześniej niż UEFA powstały piłkarskie federacje w Ameryce Południowej i Azji, jednak europejskie inicjatywy, zdolność i skuteczność w organizowaniu międzynarodowych rozgrywek klubów i reprezentacji zadziwiają teraz cały świat. Europa, to jest Europa! Na pomniki zasługują zwłaszcza niezwykle pomysłowi, twórczy i konkretni w działaniu Francuzi: Jules Rimet, Henri Delaunay i Gabriel Hanot. Dzięki nim mamy mistrzostwa świata, Europy, a także europejskie rozgrywki pucharowe. Głośno mówiono o tym na jubileuszowym Kongresie UEFA na Cyprze. Wyróżniono też największe gwiazdy europejskiego futbolu: Franza Beckenbauera, Johana Cruyffa, Zinedine Zidane’a. „Kaiser Franz” na pytanie, kto z nich był najlepszy, bez namysłu odpowiedział: – *„Holender Cruyff, ponieważ potrafił zrobić z piłką i przeciwnikiem wszystko, co chciał”*.

Swoje wielkie dni przeżywał również prezydent FIFA Sepp Blatter. Przewodzi stowarzyszeniu, które ma już sto lat! Sternik FIFA – jak na Europejczyka przystało, był oczywiście na jubileuszu UEFA i z tej okazji w Limassol zabrał

głos w stylu godnym reprezentanta naszego kontynentu: – „*Union of European Football Association jest twórcą światowego dziedzictwa futbolu... Jest symbolem jedności i pokoju, który panuje w Europie w ostatnich pięćdziesięciu latach...*”. Były też słowa uznania dla Polaków. Za dwanaście lat działalności pamiątkowe plakety otrzymali nasi obecni przedstawiciele w UEFA: Kazimierz Oleszek, Stanisław Speczik i Andrzej Wach. Szkoda tylko, że wśród wyróżnionych piłkarzy zabrakło choćby kilku ciepłych słów uznania dla naszych prawdziwych artystów futbolu: Zbigniewa Bońka, Kazimierza Deyny, Roberta Gadochy, Grzegorza Laty, Włodzimierza Lubańskiego i ich wielkich poprzedników Gerarda Cieślika, Lucjana Brychczego i Ernesta Pohla. Sic transit gloria mundi. Tak przemija sława tego świata.

Atmosfera roku 2004 tak czy inaczej była w futbolu podniosła, także w kraju mieliśmy sporo podstaw do zadowolenia, głównie z powodu tak bardzo udanej jesieni naszej reprezentacji. Pojawiły się nawet opinie, że na grudniowe kolejne Walne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze prezes PZPN i jego najbliżsi współpracownicy do sali konferencyjnej stołecznego Sheratonu zostaną wniesieni na rękach. Przedwczesna euforia, bo nie ma róży bez kolców. W naszym piłkarstwie w tym samym czasie działo się sporo rzeczy nagannych, czynów amoralnych, działań o dużym zabarwieniu przestępczym. Odżyły słowa i pojęcia: łapówkarstwo, korupcja, przekupstwo, kumoterstwo, łamanie przepisów, spory w rodzinie i nieporadność w negocjacjach z kontrahentami. Sugero- wano, że dużą winę ponosi tu prezes Michał Listkiewicz i jego najbliżsi współpracownicy. Prawda to czy zwykłe pomówienia?

„Postęp w wymiarze sportowym, bazy, regulacji prawnych, licencji, a nawet zawodników czy szkolenia młodzieży, jest widoczny... Krok po kroku idziemy do Europy... Przydało by się jednak trochę więcej profesjonalizmu w pracy Wydziału Dyscypliny, Najwyższej Komisji Odwoławczej czy Wydziału Gier...

Źle się stało, że system rozgrywek był kilkakrotnie zmieniany... Uważam, że pierwsza liga w 16-zespołowym składzie, a tak będzie od sezonu 2005/2006, powinna funkcjonować co najmniej trzy lata... Rozgrywkami będzie zarządzać podmiot o statusie spółki prawa handlowego, niezależny prawnie od PZPN... Priorytet reprezentacji, w naszych realiach, musi być zachowany. Nasze kluby, głównie z przyczyn ekonomicznych, nie są w stanie podjąć rywalizacji ze ścisłą europejską czołówką. Reprezentacja ma taką szansę” – zapewnia prezes Listkiewicz

Akurat te myśli brzmią racjonalnie. Ale pojawiły się też mniej wyważone i już nie tak celne, naiwne, rażące niewiedzą lub chęcią obrony spraw przegranych. Prezes nie zgadzał się na przykład z krytyką sędziów piłkarskich. W powszechnym odczuciu znaczną ich część w mijającej kadencji stanowili nieudacznicy, a także spryciarze i kombinatorzy. Listkiewicz oburzał się na takie stawianie sprawy.

– To polska choroba – stwierdził w wywiadzie dla „Polskiej Piłki”. – Podam taki przykład. Gdyby mecz, który sędziował Cwalina, sędziował Collina i podejmował te same decyzje, to najwyżej spotkałby się z opinią, że „miał słabszy dzień, ale jest wielkim sędzią”. W naszej lidze sędziuje jednak Cwalina, którego można bezkarnie obrażać i lżyć, świadczy to o niskich instynktach części środowiska dziennikarskiego. Mamy do czynienia z zastraszającą „rządzą krwi”. Jeśli nie ma ofiary, to gazeta jest „nudna”... Agresja mediów wobec sędziów tylko taką bezkarność napędza. Do niektórych sędziów mam jednak pretensję, że sami się nie szanują... Nie potrzebnie dają pretekst do różnych plotek.

Takie dictum musi rodzić sprzeciw. Prezes coś wiedział, ale zachował to dla siebie. Nasilającą się z każdym dniem nieufność wobec sędziów zwykł traktować w kategorii złośliwości lub nieuzasadnionych oskarżeń. Stwierdził z zadziwiającą pewnością siebie: – „*Czyba jestem „za miękki” w stosunku do dzienni-*

karzy, ale lubię rozmawiać i dyskutować. Taką mam naturę... Jestem zwolennikiem ewolucji, a nie rewolucji. W sporcie rewolucja nie ma szans”. Czy takim wyznaniem można wygrać kolejne wybory? Na to pytanie Michał Listkiewicz również odpowiedział triumfalnie:

– Nie ma potrzeby, abym kogoś teraz agitował i przekonywał do mojej osoby. Ci, którzy uznali, że warto na mnie głosować, zapewne już się zdecydowali. Ci, którzy mnie nie lubią, również zdania nie zmieniają. Delegaci na zjazd to nie są przypadkowi ludzie, tylko osoby wybrane przez swoje środowiska i oni wiedzą, że oceny człowieka nie dokonuje się „za pięć dwunasta”, ale na podstawie tego, co robił przez cały czas.

FAWORYCI TRENERA STULECIA

Z tego oświadczenia jasno wynika: Listkiewicz był święcie przekonany, że w swej pierwszej kadencji zrobił dużo więcej dobrego, niż złego. Odstraszył więc rywali do sukcesji? Był jedynym kandydatem na prezesa, co w wolnym kraju, można by uznać za sprzeniewierzenie się demokratycznym procedurom wyborczym. Zabrakło więc spodziewanych emocji. Być może do ponownej elekcji „Misia” znowu mocną cegielkę przyłożył Kazimierz Górski. W dość obszernej wypowiedzi pod tytułem „**Mocna czwórka**” tak ocenił jego pięcioletnią prezesurę:

– ... „Klubowi notable też nie są święci, nie mają klasy i kultury, ale przy pomocy bulwarowej prasy są na świeczniku. Produkują „afery”, a potem całe odium spada na PZPN i prezesa. Czy to wszystko przyszło ze zmianą orientacji ze wschodniej na zachodnią? Mnie trudno było by się znaleźć w tym towarzystwie. A Listkiewicz? Zachowuje stoicki spokój. Jego nikt nie przyniósł do PZPN w teczce. To człowiek dobrze znany w futbolu, w kraju i zagranicą. To

były sędzia międzynarodowy, członek znaczących komisji UEFA i FIFA. Dobrze czuje się na piłkarskich salonach i udanie reprezentuje tam polskie piłkarstwo. Swobodnie rozmawia w kilku językach. Tak, to właściwy kandydat na kolejną kadencję. Prezes nie malowany”.

Świetna rekomendacja. Kazimierz Górski widać wyspecjalizował się w wydawaniu przychylnych opinii kandydatom na prezesa piłkarskiej centrali. Z jego „poręki” w roku 1995 ster PZPN przejął Marian Dziurowicz wyraźnie wtedy dystansując Jerzego Domańskiego, a w grudniu 2004 też dzięki „panu Kaziowi” samotny bieg po kolejną prezesurę wygrał właśnie Listkiewicz. Głos Górskiego trafił delegatom do przekonania. Wprawdzie przed wyborami przebąkiwano o zmianie „pezetpeenowskich cugli”, podobno chciano nimi uszczęśliwić Antoniego Piechniczka, Ryszarda Niemca, a nawet Zbigniewa Bońka, jednak w Sheratonie okazało się, że były to li tylko miraż „wolnej elekcji”. Triumfował Listkiewicz, mając w garści mandaty aż 193 delegatów.

– To nadspodziewanie dobry wynik, jestem zaskoczony, ale przede wszystkim szczęśliwy. – stwierdził prezes. – Nie liczyłem na tak wyraźne zwycięstwo. Ono niewątpliwie cieszy, ale budzi też troszeczkę niepokoju. Tak dobry wynik wskazuje, że delegaci mają do mnie zaufanie. Ale czy tylko to? Spodziewają się, że spełnię ich wszystkie oczekiwania. A to niełatwe zadanie...

W sumie Walne Zgromadzenie 2004, choćby z powodu braku tradycyjnie zaciętej walki o fotel prezesa, zapewne nie najlepiej zapisze się w annałach PZPN. Było nudnawo, nie skakano sobie do gardeł, najwyżej ktoś kogoś nieco mocniej pociągnął za krawat. Brakowało Jana Tomaszewskiego. Olał towarzystwo czy bał się spojrzeć mu w oczy? Zdegustowany gładkimi wystąpieniami większości dyskutantów przed czasem opuściłem „twierdzę Sheraton”. Nie tak dawniej bywało! Tym razem nikt nie potrafił stworzyć nawet pozornie banalnego nastroju „**kochajmy się i szanujmy**”, jaki zazwyczaj na salę obrad wnosił nie-

powtarzalny Kazimierz Bukowski z Radomia. Nie było też przebiegłej retoryki polemistów „**tylko krowa nie zmienia poglądów**”, czym przed pół wiekiem „gasił” oponentów kapitan związkowy pułkownik Henryk Reyman z Krakowa. Wreszcie w małych grupkach przy kawie bezskutecznie oczekiwano na kogoś, kto powie, że „**ryba psuje się od głowy**”. Niegdyś było to ulubione powiedzonko Jerzego Chrzanowskiego z Lublina. Znaczyło jednak niewiele, tyle ile dziś „pustosłowie” śmiesznych parlamentarzystów.

W Sheratonie delegaci gniewnych opinii nie wygłaszali. Dobrze bowiem wiedzieli, że na współczesny wizerunek polskiego piłkarstwa decydujący wpływ ma praca w klubach, związkach wojewódzkich i okręgach. A tam „głodno, chłodno i do domu daleko”. Trzeba wiązać koniec z końcem. Zmusza do tego nie tylko brak pieniędzy i nieudolność w pozyskiwaniu sponsorów, lecz także – może nawet przede wszystkim – brak piłkarskiej wiedzy i doświadczenia. To najbardziej hamuje niezbędne inicjatywy, ściślej mówiąc – skuteczne rozwiązania organizacyjne i szkoleniowe. Anno 2004 nawet w teoretycznie sprawnie funkcjonujących klubach podstawowym lekarstwem na wszelkie tam występujące choroby nie jest walka z wygodnictwem i amoralnymi postawami, lecz z... trenerami.

Nie zdziwiłem się więc, gdy jeden z dowcipniejszych obserwatorów grudniowego festiwalu ekipy Listkiewicza powiedział, że „*nowy-stary prezes jest maską dla trupa, jakim jest dziś polski futbol*”. Nadal nie ma więc autorytetów, ludzi z charyzmą Cetnarowskiego, Bończy-Ujazdowskiego, Aleksandrowicza, Rylskiego, Koncewicza lub Górskiego. Niedawno na łamach dziennika „Życie” trener Orest Lenczyk na pytanie dziennikarza „jakie inne postrzega dziś autorytety”, odpowiedział (zwłaszcza mnie) szokująco:

– „Ludwik Sobolewski jako prezes Widzewa Łódź, Zbigniew Jabłoński jako prezes Wisły Kraków oraz redaktorzy Jerzy Lechowski i Ryszard Niemiec, to obok szkoleniowców Jerzego Talagi i Kazimierza Górskiego, to ci ludzie pił-

ki nożnej, których wciąż cenię i szanuję”. Lenczyk nie jest stronnictwym dziopisarzem ani satyrykiem, tylko poważnym trenerem, więc chyba nie żartuje. Jego nostalgie historyczne rażą jednak współczesnych. To już wszystko było. Teraz główne role w naszym futbolu obok wolnego rynku odgrywają ludzie z kasą. Czy Lenczyk jest w stanie im jeszcze coś zaproponować? W Bełchatowie zdaje się dowodzić, że zdrowa myśl i stara szkoła trenerska nie rdzewieje. Ratował też Zagłębie Lubin i Cracovię. Doskonałym warsztatem pracy i nieskazitelną postawą moralną, a nie pustosłowiem.

Tematyka szkoleniowa, niestety – nie dominowała na grudniowym zjeździe PZPN. Nawet w kuluarach znowu najchętniej rozprawiano o marketingu, podatkach, grupie G-4, próbującej rozbić i rozwarstwić naszą ligę, podgrzewanych płytach, oświetleniu boisk i machlojkach przy nadawaniu licencji. To wszystko ważne, ale produkcja zawodników (przepraszam za to niewiele dziś znaczące pojęcie) – jest najważniejsza. W tej właśnie kwestii PZPN powinien być wzorem dla klubów, tymczasem od ładnych kilku lat nie ma na Miodowej klasycznego Wydziału Szkolenia. Funkcjonują przeróżne atrapy.

To trudny do wybaczenia „grzech zaniedbania” jeszcze z czasów prezesury Mariana Dziurowicza. W centrali aż roi się dziś od biurokratycznie zarządzanych departamentów. W pionie szkolenia również narodziło się sporo odrębnych (chyba tylko ambicjonalnie uzasadnionych) wydziałów (departamentów?): reprezentacji, młodzieżowy, trenerski, itp. A to przecież wszystko razem jest szkoleniem. Sztucznymi podziałami rozwodniono odpowiedzialność za organiczną całość produkcji. Chyba przyszła wreszcie pora, aby przywrócić tu niezbędną jedność i oddać szkolenie w jedne, ale mocne ręce i otwartą głowę. W Sheratonie Antoni Piechniczek słusznie domagał się wyższej rangi dla całego pionu szkolenia i więcej troski o losy trenerów.